

# Walka o milion.

Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów

przez M. Walter

B. Felicyan tłumaczył z angielskiego

(Ciąg dalszy).

— Niechże pan teraz udowodni, że się pomyliłam.

Kati Scaton zostawiła Arteveltda w towarzystwie Leonory, a sama zajęła się innymi gośćmi.

Arteveldt myślał, że natrafi na wiejską dziewczynę, którą od razu przejmie podziwem dla siebie i zdobędzie z łatwością sympatię, ale wkrótce się przekonał, że Leonora jest istotnie niepospolitą dziewczyną, że tak zwane flirtowanie jest dla niej wstrętną. Na szablonowe nmięgi i komplementy, odpowiadała mu taką majestatyczną powagą, taką dystygowaną stanowczością, że musiał od razu zmienić ton rozmowy, nie chcąc się narazić, aby go samego zostawiła.

Zdarzyło mu się to po raz pierwszy i dlatego też po raz pierwszy w życiu doznał uczucia, jakiego nie doznawał przedtem nigdy w towarzystwie żadnej innej kobiety.

Było to zapewne rozbudzenie się w nim miłości prawdziwej, która zawsze tylko z głębokiego szacunku dla kobiety wyrasta.

## III.

### Zagadkowa kradzież.

Następnego dnia siedział Neil Stuart po południu w kawiarni i przeglądał dzienniki, gdy niespodzianie położył mu ktoś rękę na ramieniu. Odwrócił się zdziwiony i spostrzegł Arteveltda.

— Ach, to pan — rzekł Stuart z odcieniem niezadowolenia.

— Przepraszam, że pana przerwałem, ale sprawa bardzo ważna.

To rzekłszy, usiadł naprzeciw Stuarci i po cichu mówił dalej:

— Wczoraj popełniono niezwykłą kradzież, dlatego chciałbym prosić o pańską interwencję.

— Prosiłem pana kilkakrotnie, abyś pan nie zapomniał o tem, że tu w Chicago nie jestem agentem policyjnym, tylko turystą, jak wielu innych. Przypieczętowałem mi to pan uroczyście.

— I przypieczętowania ściśle dotrzymuję. Do tej chwili nikt jeszcze odemnie się nie dowiedział o pańskim zawodzie. Ponieważ owa kradzież jest bardzo zagadkową, więc sądziłem, że może pan zechce, choćby dla własnej przyjemności zająć się nią z właściwą sobie zręcznością. Proszono mnie, ażebym wezwał najrzeczniejszego agenta tutejszej policyi, ale proszę się nie dziwić, że znając pana z opinii, która tu z New Yorku dotarła, przede wszystkim do pana się zwróciłem. Jeżeli sprawiłem tem przykrość, to bardzo przepraszam.

Neil Stuart był istotnie agentem z zamiłowania, więc pomimo swojego *incognito*, które w Chicago zachowywał, skłonił się od razu do zajęcia się tym niezwykłym wypadkiem. Siedli zaraz do powozu i pojechali.

— Niechże mi pan opowie, jak się to stało? — rzekł Stuart.

— Przyjaciół mojej matki, pan Durand, sprzedał wczoraj dom na przedmieściu i otrzymał za niego 25 000 dolarów. Miał je dziś odnieść do banku, ale mu je w nocy w zagadkowy sposób ukradziono.

— Pan Durand? Czy to nie ten, który ma bardzo piękną córkę?

— Czy panu może mówiłem o niej?

— Nie panie, ale już o niej słyszałem, a nawet i o tem mi mówiono, że pan podobno ma jakieś zamiary...

— Ej, często więcej się mówi, niżeli potrzeba. Ot, bywam w tym domu, panna ładna, nie przeczę, ale żadnych nie mam zamiarów. Zresztą, ileż to pięknych panien na świecie, za iloma się to rozmawia, ilu pannom się nadskakuje, a jeszcze nie wynika z tego, aby zaraz myśleć o zaręczynach. Zresztą są o wiele piękniejsze. A — panie Stuart, co za szkoda, że pan nie byłeś wczoraj u Rathvenów.

— Pewnie jakaś nowa piękność?

— Rzeczywiście niezwykła piękność, ale i niezwykła osoba.

— Jak też długo się będzie panu podobała?

— A zawsze pan złosliwy. To tylko powiem, że jej z innymi porównywać nie można.

— Jakże pan się dowiedział o tej kradzieży?

— Wczoraj wieczorem miałem być u Durandów, zapomniawszy, że to imieniny pani Rathven, dziś więc poszedłem niesprawiedliwie się i właśnie trafiłem na tę chwilę, kiedy Durand, chcąc odnieść pieniądze do banku, przekonał się, że mu je skradziono. Ale oto właśnie jesteśmy na miejscu i zaraz się pan dowie wszystkiego.

Zatrzymali się przed wspaniałą willą. Portyer wprowadził ich do westibulu, skąd po szerokich, marmurowych schodach udali się na piętro do bogato i gustownie urządzonego gabinetu, gdzie za chwilę zjawił się Durand.

— Przedstawiam panu najznakomitszego agenta z New Yorku, pana Neil Stuart — rzekł Arteveldt.

Durand wyciągnął ku Stuartowi serdecznie rękę na powitanie.

— Szczęrze się cieszę, że pana poznaje; tyle o panu czytałem i słyszałem, że poznanie pana muszę nazwać istotną przyjemnością.

Neil Stuart już nieraz słyszał takie wyrazy, bo istotnie miał nietylko powszechnie uznanie, ale i prawdziwy miał sobie zdobyć szacunek dla siebie. Odpowiedział też na tę uprzejmość ukłonem grzeczny, ale z takim wyrazem twarzy, jakby przyjmował to, co mu się należało.

— Miło mi będzie służyć panu, jeżeli pan tego sobie życzy — rzekł Stuart.

— Ależ — bardzo proszę i z najzupełnijszym zaufaniem powierzam panu całą sprawę.

— Jeżeli tak, to proszę pozwolić, abym przede wszystkim zobaczył miejsce, w którym kradzież się odbyła.

— Słuszę panu. Pieniądże miałem zamknięte w stoliku w pokoju sypialnym. Może panowie obydważ je mają pozwolą?

Stuart zbadał zamki i drzwi, zasłony u okien, podnosił portyery, a nawet przypatrywał się dokładnie tapetom; zbadał też przyległe pokoje, a potem usiadł na fotelu, zakrył twarz rękoma, jakby zatopił się w myślach.

Nie przeszkadzano mu w tem, nie przerywano zamyślenia. Nagle Stuart powstał i spytał przedko:

— Wielu pan ma służących?

— Siedmioro — odpowiedział Durand, zdziwiony nieco tak obcesowem zadaniem.

— A wiele osób należy do rodziny?

— Troje, oprócz mnie, a to: moja żona, córka i jej towarzysza.

— O której godzinie otrzymał pan pieniądze?

— Koło szóstej wieczorem.

— Czy pan je zaraz zamknął?

— Natychmiast, skoro tylko posłaniec się oddalił.

— Czy widział kto, jak pan pieniądze zamykał?

— Nikt zgola. Byłem sam jeden w pokoju.

— Czy pan wspominał coś w gronie rodziny o tych pieniądzech?

— Tak. Zaraz siedliśmy do obiadu i mówiłem o tem przy stole, ale nie było żadnego służącego.

— Czy się pan nie myli?

— Zapewniam pana, że nie było nikogo ze służby.

— A więc tylko pańska żona, córka i jej towarzysza wiedziały o tem?

— Tak panie.

Stuart ponownie się zamyślił, usiadłszy w fotelu, a po chwili wstał przedko i rzekł:

— Jeżeli pan chce odzyskać pieniądze, proszę mi pozostawić zupełną swobodę działania.

— Ależ proszę czynić, co pan uzna za stosowne. Powiem panu szczerze, że nie tyle mi zależy na odzyskaniu pieniędzy, ile na tem, aby wykryć tak zręcznego i zuchwałego złodzieja. Co pan o tem sądzi? Wszak to niezwykle wydarzenie?

— W tej chwili nic jeszcze powiedzieć nie mogę. Ale, jeszcze jedno. Czy wie kto u pana w domu o tem, kto jestem i po co przybyłem?

— Nie, panie. Moja córka jest w swoim pokoju, a moja żona tak się przerażała tym wypadkiem, że dostała silnego bólu głowy i nie wychodzi z pokoju.

— Czy nie mógłbym dzisiaj być u pana na herbacie, oczywiście, jako pański znajomy.

— Ależ i owszem, bardzo proszę. Bądźcie panowie łaskawi przyjść razem, a przedstawię pana mojej rodzinie, jako przyjaciela pana Arteveltda.

— A, to bardzo dobrze. Teraz pana pożegnaj, a za pół godziny przysięgnę tu panu agenta policyjnego, który wybadają pańską służbę. Niech pan służbę uprzedzi, że agent przybędzie. A gdy przyjdę na herbatę, niech pan będzie łaskaw pamiętać o

tem, że jestem tylko przyjacielem pana Arteveltda. Jeszcze jedna prośba. Gdy będziemy przy stole, zechce pan coś nadmienić o spełnionej kradzieży, ale dopiero wtedy, gdy przekroję na pół kromkę chleba.

— Co tego, to już nie rozumiem — rzekł Durand nieco zakłopotany, a nawet niezadowolony.

— A jednak bardzo pana o to proszę i zapewniam, że pan tego nie pożałuje.

— Spełnię i to, chociaż nie nmiem sobie zdać sprawy, na co to panu potrzebne.

— Dziękuję panu bardzo, a teraz do widzenia.

Durand pożegnał nściśnieniem ręki Stuarci i dodał:

— Czekamy z herbatą.

W pół godziny przybył zapowiedziany przez Stuarci agent policyjny. Wyglądał na człowieka dość pospolitego, coś w rodzaju zaniedbanego rękodzielnika. Figura przy tem niemila, o rudych włosach i rudej brodzie, o ruchach ciężkich i niezgrabnych.

Wszędzie zaglądał, obejrzał dokładnie wszystkie pokoje, a wreszcie udał się do kuchni, gdzie cała służba, bardzo zatrwożona, zgromadziła się około starej kucharki, jakby kurczęta pod skrzydłami kury.

Mędzy służbą popłoch był wielki, bo właściwie żadne z nich jeszcze nie miało sposobności mieć sprawy z policyją. Ale jakiś duch wstąpił we wszystkich, gdy ów agent policyjny, którego się tak bardzo lękano, okazał się wielce przyjacielskim i rozmownym człowiekiem. Rozsiadł się swobodnie w kuchni, żartował z pokojówkami, powiedział im kilka komplementów, a tylko jakby od niechcenia zaczął rozmawiać o dokonanej kradzieży.

Tem postępowaniem ośmielona służba, zaczęła swobodnie wypowiadać różne przypuszczenia, agent zaś słuchał cierpliwie i wpatrywał się spokojnie w mówiących. Potem pożegnał służbę i udał się do Duranda.

— Ze służbą już się załatwiłem, a teraz proszę bardzo, abym się mógł widzieć z pańską córką i jej towarzyszką. Jak się nazywa towarzysza pańskiej córki?

— Nelly Brown.

— Jak dawno jest u państwa?

— Około dwóch miesięcy.

— Czy państwo z niej zadowoleni?

— Muje się bardzo podoba, ale moja żona czuje do niej jakąś antypatyę.

— Niechże pan będzie łaskaw poprosić córkę i pannę Brown.

Durand zadzwonił, wszedł służący.

— Poproś moją córkę i powiedz, żeby przysłała z nią panna Brown.

— A czy pańska córka okazuje wiele życzliwości towarzysze?

— Zdaje mi się, że ją bardzo lubi i ceni.

— Mimo tego, że widzi u matki antypatyę? Czy stara się tę antypatyę złagodzić?

— Zachowuje się wobec tego zupełnie obojętnie.

Po chwili zjawiła się Nelly Brown.

— Jestem na rozkazy pańskie, — rzekła, zwracając się do Duranda i udając, że ajenta nie widzi.

— A moja córka?

— Panna Laura przyjść nie może, bo jest chora.

— O, mój Boże, cóż takiego?

— O, nic, — odpowiedziała Nelly — cośkolwiek migreny, która zapewne do wieczora przeminie.

Mówiła to z niejakiem zakłopotaniem, które nie uszło uwagi ajenta.

— A, jeżeli tak, to trzeba jej dać spokój, ale pani, panno Nelly, zechce udzielić temu panu wyjaśnień, w sprawie popełnionej u nas kradzieży.

— Jestem do dyspozycji.

Nelly była osobą wcale przystojną, ale niemilą. Z jej twarzy bił wyraz jakiejś zaciętości, czy bodaj silnego uporu. Znać było, że wysila się na to, aby wciąż nad sobą panować i okazywać się nie taką, jaką jest, ale jaką stosownie do okoliczności być pragnie. Agent rozmawiał z nią napozór o rzeczach błażych, jakby mu zależało na tem, aby rozmowę przeciągnąć. Wreszcie przerwał i podziękował za dane wyjaśnienia. Nelly odeszła, a również i agent skłonił się Durandowi z pożegnaniem.

— Przepraszam pana — rzekł Durand, — że się jeszcze o coś zapytam. Dlaczego pan tak dokładnie badał zamki i zasłony w oknach? Czy pan sądzi, że były naruszone?